ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPÓŁECZNY

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

№ 35
WARSZAWA
DNIA 31 SIERPNIA 1913 R.

NA KRWAWYM MARGINESIE.

Jeszcze nie ostygły zgliszcza bałkańskich wiosek z doby ostatniej bratobójczej walki, a oto ryczy znowu nad Maricą spiż tureckich armat, suną rozbestwioną tłuszczą szeregi Azjatów przeciw zdziesiątkowanym pułkom Bułgarów. Dano sygnał do trzeciej z rzędu rzezi bałkańskiej.

Może tym razem „interwencja“ mocarstw naprawdę wstrzyma nowy pochód śmierci, jeśli gabinetom dyplomatycznym taki obrót rzeczy będzie na rękę. Tymczasem do tysięcy samotnych, bezimiennych grobów i wielkich wspólnych dołów, zalewanych wapnem, w których śpią snem nieprzerwanym oszpecone trupy jurnych niegdyś, butnych Sławków i Janków,—przybywają wciąż świeże i świeże...

* * *

Czterysta tysięcy trupów!!

Czy jest kto w stanie pojąć rzeczywiste znaczenie tych trzech słów? Czy fantazja nasza zdolna jest wytworzyć sobie plastyczny obraz tych krwawych pobojowisk, na których w jednej sekundzie marły szczęścia całych rodzin, gasły marzenia całych wsi? Czy zgruntuje nasza świadomość bezmiar bólu, jakim dławiły się ściśnięte gardła setek rannych, leżących w chłodne, czarne noce na stratowanem polu, beznadziejnie wyczekujących pomocy od lekarza pułkowego, który nigdy nie miał już nadejść, bo właśnie umierał, zarażony w baraku cholerycznym?...

A ów błysk przepotwornego zmagania się w oku jakiegoś żołnierzyka, co leżąc na zboczu pagórka z poszarpanymi nogami i dwukrotnie bagnetem przebitymi wnętrznościami, widzi jak zbliża się do niego nocą ostrożnie pies, tuczący się od miesięcy juchą i padłem, pies, którego nie można odgonić, bo ręce już sztywnieją?

* * *

Między dwiema ścianami zielonego lasu, po wężu rozmokłej drogi posuwa się ostrożnie długa kolumna żołnierzy. Za parę chwil, gdzieś na skraju boru rzygnie w ten żywy tłum powódź płomienia i żelaza z ukrytych w dali wrogich dział, worywać się będą czerepy granatów w ciała bułgarskich Bartków-Zwycięzców, wyhodowane czarną dolą i znojnym trudem, pieszczone w dzieciństwie szorstką, spracowaną dłonią wieśniaczek.

To nie kolumna wojska idzie po śmierć nieuchronną; to szereg bark, na które włożono troskę i odpowiedzialność za coroczny urodzaj płachetka ziemi, które karmi dziesięć łaknących gąb; to szereg serc prostaczych, lecz ludzkich, które się tak dziwnie tłukły, gdy stawały kiedy wobec dziwów Nienawiści, Miłości, Życia; to kilka tysięcy par oczu, z których każde płakały kiedyś ze szczęścia, lub z bólów dni szarych!

To kolumna żywych i widzialnych, za którymi w trop biegł od początku wojny tłum cieni, Tęsknica i Niepokój, jakie wysyłały na zwiady opuszczone matki, kochanki, żony i siostry.

* * *

Opowiadano nam codzień o strasznych okrucieństwach; donoszono, że gdzieś w okręgu

gu Kilkiskim spalono 25 wsi, w okręgu Gewgeli 4, nad Strumicą 7, wokoło Demir-Hissara 7, w okręgu Newrokopu 5 i Tibwesza 10. Wszyscy mieszkańcy, którzy nie zdążyli zbiedz, zginęli.

Opowiadano, że artylerja grecka ostrzeliwała szpital na dworcu demirhissarskim. Część personelu szpitalnego rozbiegła się, reszta, jak również chorzy, zostali zabici. Niektórzy z chorych, mimo rozpaczliwych usiłowań wypełznięcia ze szpitala, uratować się nie mogli. Po wkroczeniu do Kukuszu Grecy wymordowali całą ludność, wyłamali drzwi świątyni i zarżnęli kilku zbiegów, którzy w przyołtarzowych zakątkach szukali schronienia, patrząc obłąkanym od strachu wzrokiem w nieme ikony; w końcu miasto padło od pastwy płomieni.

Opisywano, że rozbestwienie szło tak daleko, iż rzucano w ogień nawet trupy już pomordowanych starców i zgwałconych kobiet. We wsi Kaliwie z 700 ludzi pozostał tylko starzec z dziewczynką. Gdzieś indziej na rozkaz zezwierzęciałego kapitana wpędzono całą ludność wioski—sześćset kobiet, dzieci, starców, w dół, który wpędzeni musieli sami wykopać i wystrzelano ich karabinami maszynowymi, wykłuto bagnetami.

W paroksyźmie szaleństwa soldateska wykłuwała oczy, obcinała nosy, kobietom piersi, łamała kolbami golenie i ramiona...

Czytaliśmy te słowa grozy i obłąkania, lecz czy wiemy, co to znaczy, jaki bezmiar zawierają one w sobie rzeczy nienazwanych, niewyobrażalnych?

* * *

Pół miljona piersi przestało oddychać, pół miljona serc bić. Wokół gruzów, oczerniałych węgłów ze spalonych i splądrowanych chat, walają się do tej chwili nieuprzątnięte przez nikogo krwawe ochłapy ciała, wyrywane z żywych ludzi w dniach mordu i niezrozumiałego rozpasania. Co krok bieleje piszczel ludzka, gnije końskie ścierwo. Po całych połaciach ziemi, do niedawna tętniących pełnią życia, radości, nadziei, przechadza się dym, włóczy się mara Pustki i Zaguby. Z popalonych lasów i poniszczonych sadów uciekł wszelki pierzasty śpiewak; pozostała tylko wrona i kruk, rajdający złośliwie na głazie zwaliska.

W imię czego umarło tyle życia?!...

W imię czego brak w Bułgarji 80,000 ojców, opiekunów, braci, narzeczonych, w Serbji 50,000, w Grecji 10,000, w Czarnogórzu 8,000, w Turcji 100,000?!

W imię czego poszło w drugiej kampanji w cmentarny dół 60,000 Bułgarów i 40,000 Serbów? W imię czego otwarły się wytarte, wyszarzałe woreczki nędzarzy, by złożyć na ołtarzu krwi i wojny pięć miljardów kosztów tej krwawej uroczystości?!

Oto matka niosła do serbskiego urzędu podatkowego uciułany grosz, by kupić zań kulę prosto w piersi ukochanego syna, oto brodaty starzec, zgięty od pięćdziesięciu lat pracy przy pługu, szedł złożyć daninę na wieniec śmiertelny wnukowi, oto sam człowiek składał się sobie na śmierć, na grób!!...

* * *

W Hadze otwarto któryś z rzędu kongres pokojowy...

Bolesław Bourdon.

Nasze uzdrowiska.

CIECHOCINEK.

I.

Jednym z zakorzenionych u nas przesądów jest twierdzenie, że „zagranica“ to niezawodny, uniwersalny środek na nasze choroby.

Przesąd ten w dodatku wiąże się z drugim, który niszczy wszelkie rachuby na wyzdrowienie,—z nieznajomością warunków lecznictwa i letnictwa krajowego.

Naogół, — pisze jeden z lekarzy w „Zdrowiu“ — nie wiemy o własnościach naszych wód krajowych, nie doceniamy własnych urządzeń leczniczych, dziś często wzorowych, nie podejrzewamy, że uzdrowiska leśne i górskie w kraju naszym więcej są warte niekiedy od rozreklamowanych zagranicznych, choćby dlatego, że leżą na dziewiczych, jeszcze nie zatrutych chorobami, zwiezionymi z całego świata, terenach.

Zacznijmy od Ciechocinka.

O obecności źródeł słonych we wsi królewskiej Słońsk, przylegającej do Ciechocinka, wiedziano już bardzo dawno; podobno w XIII w. warzono sól z solanki słońskiej. Właściwy rozwój zakładu rozpoczął się dopiero na początku XIX w., kiedy z inicjatywy ówczesnego ministra skarbu Król. Polskiego, Ks. Lubeckiego, wykupiono Ciechocinek wraz z przyległemi gruntami na własność rządową, wywiercono ogromne

świdrowe otwory, wybudowano wielkie tężnie, warzelnie soli wraz z magazynami.

Na własności lecznicze solanki zwrócono uwagę na początku czwartego dziesięciolecia zeszłego wieku. W roku 1836 powstał pierwszy skromny zaczątek przyszłego zakładu kąpielowego, w postaci czterech wanien, urządzonych przy miejscowej oberży. W r. 1844 zakład dostał się pod zarząd specjalnego komitetu, który po uzyskaniu zasiłku rządowego w kwocie 12,000 rb., przystąpił w r. 1846 do budowy gmachu łazienek solankowych na 36 wanien (obecnie łazienki № 1), W r. 1872 usypano wał ochronny na przestrzeni 6 wiorst, dla zabezpieczenia niziny ciechocińskiej od niszczących zalewów i tym sposobem wytworzono niezbędne warunki dla pomyślnego rozwoju zdrojowiska.



Ciechocinek. Łazienki solankowe № 4.

Atoli rzeczywiste przekształcenie jeszcze bardzo pierwotnie urządzonego zakładu na modłę europejską datuje się od lat kilkunastu. Dzięki niezmordowanej energji i rozumnej gospodarce obecnego Zarządu, pod dyrekcją Marjana Raczyńskiego, powstały w tym czasie kosztem około miljona rubli piękne gmachy łazienek borowinowych, (№ 3), nowych solankowych (№ 4), najnowszych (№ 2) dla mniej zamożnej publiczności oraz wszystkie urządzenia balneo-terapeutyczne.



Ciechocinek. Estrada w parku.

Dziś środki i urządzenia zakładu kąpielowego są liczne i bogate. Znajduje się on w tem szczęśliwem położeniu, że czysty dochód, otrzymywany z eksploatacji, a wynoszący 140,000 rb. rocznie, może obracać na nowe ulepszenia, budowę nowych gmachów i t. d. Obecnie Ciechocinek posiada cztery wspaniałe gmachy kąpielowe i łazienki № 1 z dwoma oddziałami: dla kąpieli solankowych i solankowo-kwasowęglowych; łazienki № 2, przeznaczone na kąpiele solankowe i borowinowe dla mniej zamożnej publiczności; № 3 z kąpielami borowinowemi; łazienki № 4, najbardziej wykwintnie urządzony budynek, przeznaczony na kąpiele solankowe. Mieści 56 numerów ze 120 wannami dla dorosłych i dzieci oraz piękną, na piętrze, salę poczekalni, będącą miejscem zebrań towarzyskich i koncertów dobroczynnych. Oddział wodo-leczniczy przy łazienkach № 1 oraz inhalatorjum na piętrze łazienek № 3 dopełniają całości urządzeń uzdrowiska.

W ostatniem dziesięcioleciu Ciechocinek postawił ogromny krok naprzód pod względem zdrowotnym i ogólno-kulturalnym i posiada dziś urządzenia, na jakie pozwolić sobie mogą jedynie uzdrowiska pierwszorzędne. Ciechocinek posiada oświetlenie elektryczne na ulicach, placach i w parku zakładowym; drogi i ulice szosowane, przeważnie wysadzane drzewami, na większych ulicach wygodne chodniki betonowe.



Ciechocinek. Łazienki (Borowinowe) № 3.

Centrum osady tonie w zieleni; barwne skwery oraz pięknie urządzone i znakomicie utrzymywane parki zakładowe o bardzo bogatym i ciekawym drzewostanie, są prawdziwą chlubą zakładu.

W r. b. zarząd zakładu ciechocińskiego, z inicjatywy dr. Kazimierza Szokalskiego urządził w parku sosnowym kąpiele powietrzno-słoneczne. Pewna przestrzeń parku sosnowego ogrodzone została wysokim parkanem; na części terenu piękne, wysokie sosny, reszta zaś otwarta dla bezpośredniego działania promieni słonecznych. W broszurze, wydanej przez d-ra K. Szokalskiego, znajdujemy wskazówki, jak należy zachowywać się podczas stosowania tych kąpieli. Autor jest zdania, że wielu kuracjuszów ciechocińskich znalazłoby w kąpielach powietrzno-słonecznych uzupełnienie kuracji. Przystępna cena (5 kop.) tych kąpieli powinna przyczynić się skutecznie do ich rozpowszechnienia.

I rzeczywiście kąpiele w lasku cieszą dużem powodzeniem, zarówno w godzinach przeznaczonych dla kobiet i dzieci, jak i dla mężczyzn, zawsze tu pełno zwolenników powietrza i słońca.

Niezmiernie ważną sprawą, dającą się dotkliwie odczuwać kuracjuszom Ciechocinka, jest brak kanalizacji i wodociągów. Narzekają na brak ten jednogłośnie wszyscy, oddawna, lecz pomimo najusilniejszych starań energicznego dyrektora uzdrowiska, p. Marjana Raczyńskiego, dziś dopiero sprawa kanalizacji i wodociągów zbliża się ku pomyślnemu rozwiązaniu. Zarząd posiada już całkowite plany kanalizacji i wodociągów, opracowane przez Towarzystwo budowy maszyn w Kołomnie, pozostające w łączności z Towarzystwem inżynierów Stokholmskich.

Kosztorys zaprowadzenia wodociągów i kanalizacji wynosi 800,000 rb., a że Zarząd kapitału takiego nie posiada a przedsiębiorcy nasi, (jak zwykle!) nie zgłaszają się wcale z ofertami, więc ma być zaciągnięta pożyczka rządowa lub też w Tow. Ubezp. „Rosja“, w ilości 1,000,000 rb.

Ponieważ zakład daje 140,000 rb. czystego dochodu rocznie — spłaty więc prawidłowe najzupełniej są zapewnione. Wobec tego, indyferentyzm naszych przedsiębiorców w tej sprawie jest zgoła niczem nie umotywowany.

Feliks Kwaśniewski.



Ciechocinek. Fontanna w parku.



Ciechocinek. Estrada pod tężniami.



Ciechocinek. Willa „Zacisze“, w której mieści się zakład gimnastyczno-leczniczy p. Reinschmidt-Kuczalskiej.

W jaki sposób można przyjść do tanich mieszkań?

Doszliśmy już do tego, że mieszkania będziemy musieli zaliczyć... do przedmiotów zbytku. Podnoszenie cen mieszkań doszło wprost do jakiejś niebywałej orgji. W ciągu dziesięciu lat ceny te prawie się podwoiły i mieszkańcy Warszawy musieli w swoich potrzebach poczynić wszelkie ograniczenia. Ci, którzy się mieścili przed kilku laty w czterech pokojach, musieli, pomimo zwiększenia się rodziny i potrzeb, zmieścić się w trzech; lokatorowie zaś trzypokojowi zeszli do mieszkań dwupokojowych. Dziś faktem jest niezaprzeczonym, że wielotysięczne rzesze lokatorów płacą nad możność, niekiedy poświęcają *połowę* swych dochodów na komorne; że właściciele stale trzymają się zasady podwyższania komornego przy zmianie lokatorów, chociażby ta zmiana odbywała się co kwartał; że podniesienie podatków, kanalizacja i t. d. dają powód znowu do podwyżki, która dziesięciokrotnie pokrywa zwiększone podatki i inne koszty.

Wobec takiego zjawiska, rzesze lokatorów stoją zupełnie bezradnie, nie przeciwdziałają, nie myślą o żadnych środkach zaradczych. Prawda, że w ostatnich latach wielu się przeniosło poza miasto, że tam, gdzie przedtem budowano tylko letnie mieszkania, dziś powstało mnóstwo domów, obliczonych na wszystkie pory roku. Ale w miarę popytu, zaczęły i tam wzrastać ceny mieszkań i stało się wprost coś potwornego. W takim Milanówku albo Otwocku, ceny mieszkań prawie dorównywują cenom mieszkań warszawskich!

Wobec takiego stanu rzeczy, należałoby obmyślić jaknajenergiczniejsze środki zwalczania drożyzny mieszkań. Niestety! dotąd wielokrotne próby spełzły na niczem a najlepsze plany i projekty poszły w zapomnienie. Dlatego uważamy za obowiązek obywatelski przypomnieć takie pomysły i rady, które dziś nadawałyby się do urzeczywistnienia. Tak np. przed kilku laty projektowano u nas „Towarzystwo Kredytowe mieszkańców Warszawy“, następnie — „Pierwsze Warszawskie Stowarzyszenie budowlane“. Pierwsza organizacja miała być oparta na wypuszczeniu listów zastawnych, druga na utworzeniu Banku budowlanego loteryjnego. Wreszcie p. Henryk Chankowski opracował przewodnik dla dla osób, chących mieć własne mieszkania i nawet zorganizował pierwsze Towarzystwo domu udziałowego“.

„Obniżenie cen lokalów — mówi autor — może nastąpić dopiero wtedy, gdy Warszawa będzie liczyła taką ilość domów i mieszkań, że nie lokator będzie ubiegał się o mieszkanie, jak się to dzieje obecnie, lecz przeciwnie, gospodarz będzie się starał o lokatorów“. Na zniżenie cen mieszkań w przyszłości liczyć nie można, według p. Chankowskiego, z przyczyn następujących: „Ciągły przyrost ludności, brak placów w śródmieściu są powodem, że wartość ziemi coraz bardziej podnosi się w cenie, a stąd budowa nowych domów coraz drożej kosztuje, przez to i ceny komornego muszą stopniowo się podwyższać. Również stale drożeją wszelkie produkty spożywcze, szkoły i t. d., tylko pensje wielotysięcznych rzesz pracowników stoją w mierze. Przy takim stanie rzeczy komorne staje się coraz cięższem brzemieniem. Dlatego wszelkie dążności, mające na celu zapewnienie tanich mieszkań, zasługują na wielkie uznanie i poparcie.

Projekt p. Chankowskiego opiera się na spółce udziałowej, którą można doprowadzić do skutku bez wszelkich starań, gdyż tego rodzaju spółki nie wymagają pozwolenia i zatwierdzenia władzy. „Potrzebny jest tylko człowiek energiczny i przedsiębiorczy, z odpowiednim kapitałem, niezbędnym do prowadzenia budowy domu udziałowego. Takich ludzi energicznych i przedsiębiorczych powinno znaleźć się dosyć, gdyż każdemu z nich będzie chodziło o utworzenie mieszkania i dla siebie samego... Budowa domu, prowadzona przez samych udziałowców, nie może wypaść drożej, niż budowa, prowadzona przez towarzystwo lub stowarzyszenie budowlane z licznym personelem administracyjnym“.

„Projektodawca dowodzi, że korzystniej jest budować nowe domy udziałowe, aniżeli kupować gotowe, gdyż zysk sprzedawcy domu zostaje w kieszeni udziałowców.

P. Chankowski z domów udziałowych wylicza następujące korzyści: 1) za pieniądze, które się traci na komorne, w przeciągu lat 8—9 można nabyć udział, dający prawo do zajęcia odpowiedniego mieszkania; 2) ceny komornego za mieszkania, zajmowane przez udziałowców, oznacza się odpowiednio do kosztów budowy domu, a zatem muszą wypaść taniej, niż należałoby płacić za nie w innym domu dochodowym; 3) Mieszkanie zajmowane przez udziałowca, stanowi *de facto* jego własność, nie może więc być mu wymówione, ani komorne także podwyższone; 4) Z zapłaconego przez udziałowców komornego idzie 50% na opłatę 5% od udziałów lub % od pożyczek, 25% na opłatę podatków, utrzymanie domu i remont, 25% na amortyzację udziałów.

W ten sposob po upływie 20 — 26 lat pieniądze, wyłożone na kupno udziału, wracają się lub też, jeżeli udział był amortyzowany komornem — zostaje spłacony, czyli że po upływie tego czasu za komorne płaci się już tylko tyle, ile wynoszą podatki i remont, t. j. około 25% ceny lokalu; nadto lokator jest posiadaczem udziału wartości zajmowanego mieszkania. 5) Nie płacąc za komorne drożej, niż w innym domu, dochodzi się bez najmniejszego trudu i pracy do kapitału, wyrównywającego wartość zajmowanego mieszkania. 6) Mieszkanie każdego udziałowca może być urządzone według jego wymagań. 7) Udział może być spłacony ratami lub nawet komornem. 8) W razie nagłej potrzeby

część zaamortyzowanego udziału może być odsprzedana lub na nią zaciągnięta pożyczka. 9) W razie wyjazdu, udział może być sprzedany lub mieszkanie odnajęte.

Cena mieszkań oznacza się odpowiednio do kosztów budowy domu. Projektodawca, biorąc za podstawę lokal, za który płaci się 1000 rb. i którego budowa kosztować będzie 10,000 rb., dla spłaty pożyczonej sumy, podaje sześć następujących kombinacji:

Pierwsza: Udziałowiec wnosi całkowitą wartość zajętego mieszkania, 10,000 rb. ratami w przeciągu 1½ roku podczas budowy domu. Za komorne zaś, zamiast 1000 rb., opłaca już tylko tyle, ile wynoszą podatki i remont, przypadającego na jego udział, t. j. 250 rb. rocznie. Albo: opłaca za komorne po 1000 rb. rocznie; z tej sumy idzie: 250 rb. na opłatę podatku i remontu, 500 na opłatę 5% dywidendy od jego kapitału (czyli że mu się zwraca te pieniądze), 250 rb. na amortyzację jego udziału. Po upływie 21¼ lat wyłożone przez niego 10,000 rb. wracają mu się, czyli staje się posiadaczem udziału wartości 10,000 rb., który go nic nie kosztuje a natomiast daje jemu i jego spadkobiercom prawo zajmowania mieszkania, za które opłata wynosi już nie 1000, lecz tylko około 250 rb. rocznie.

Druga kombinacja: Udziałowiec wnosi ratami w ciągu 1½ roku podczas budowy domu ¾ wartości zajętego mieszkania, czyli 7,500 rb. a na ¼, t. j. 2,500 rb. zaciąga 5% pożyczkę Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy. Udział amortyzuje się w ciągu 22¾ lat a pożyczkę Tow. Kred. spłaca się w ciągu 27½ lat.

Trzecia kombinacja: Udziałowiec wnosi ratami w ciągu ½ roku podczas budowy domu połowę wartości zajętego mieszkania, czyli 5000 rb. a na drugą połowę zaciąga 5% pożyczkę Tow. Kred., którą spłaca w ciągu 23 lat i w tym samym okresie amortyzuje udział.

Czwarta kombinacja: Udziałowiec wnosi ratami w ciągu 1½ roku ⅓ wartości zajętego mieszkania, czyli 3,500 rb. a na pozostałą sumę 7,500 rb. zaciąga pożyczki 5000 rb. 5% Tow. Kred, 2,500 (6%) na № 2 hipoteki. Pożyczki i udział amortyzują się w ciągu 24½ lat.

Piąta kombinacja: Udziałowiec wnosi ratami w ciągu 1½ roku ⅛ wartości zajętego mieszkania a na pozostałe zaciąga pożyczkę 5000 na 5% Tow. Kred., 3,750 (6%) na № 2 hipoteki.

Szósta kombinacja: Udziałowiec nic nie wnosi gotówką, lecz całkowity swój udział spłaca komornem. Na wartość udziału zaciąga pożyczki: 5000 rb. (5%) w Tow. Kred., 2,500 (6%) na № 2 hipoteki, 2,500 rb. (7%) na № 3. W 12½ roku zaciąga pożyczkę dodatkową w Tow. Kred., spłaca (7%) pożyczkę № 3, po 18 zaś latach dokonywa konwersji dwu pożyczek Tow. Kred., z dobraniem sumy umorzonej i spłaca 6% pożyczkę № 2.

Z tabelki ceny mieszkań widzimy, że mieszkanie, za które w domu cudzym płacilibyśmy 1000 rb. rocznie, w domu udziałowym będzie kosztowało średnio: przy pierwszej kombinacji 540 rb., 2-ej — 544, 3-ej — 566, 4-ej — 587, 5-ej — 594, 6-ej—629 rb. Najkorzystniejsza jest kombinacja pierwsza, najmniej zaś korzystna szósta. Ale i tutaj, pomimo wysokiego procentu od pożyczek w 26½ roku lokator przychodzi do posiadania 10,026,33 rb. i do mieszkania, za które opłaca komornego, zamiast 1000 rb., już tylko 250 rb. rocznie.

P. Chankowski podaje szczegółowe obliczenia, dotyczące 20 kategorji mieszkań na różne ceny. Tak np. mieszkanie czteropokojowe w oficynie na 3-m piętrze (z wanną i wszelkiemi wygodami) przy pierwszej kombinacji będzie kosztowało w domu zwyczajnym tylko 142 rb. rocznie, w domu zaś komfortowym 150 rb. Udział tej kategorji mieszkania w domu zwyczajnym kosztować będzie 5,700 rb., w domu komfortowym 6,023 rb.

Tak więc, można mieć mieszkania istotnie tanie, bez widma mieszkaniowego podnoszenia cen i wyrzucenia lokatora.

P. Chankowski w książce swojej podał bardzo szczegółowy, z wszystkiemi drobiazgami, kosztorys budowy domu dochodowego.

Od tego czasu upłynęło już dziewięć lat, a tak piękna inicjatywa nie weszła w życie i nie rozszerzyła się na wielką skalę. Czy nie znalazłaby się garść ludzi energicznych, któraby zechciała na nowo rozważyć kombinacje p. Chankowskiego, zjednać jaknajszersze koła zwolenników i wprowadzić w czyn tę akcję, która mogłaby mieć doniosłe znaczenie ekonomiczne i społeczne?

Zenon Pietkiewicz.

Szlakami życia miljardera.

2)

Karjera Morgana.

Morgan debiutował w Londynie, w banku swego ojca. W tym czasie zdarzył się wypadek bankructwa pewnej firmy bankowej w New-Yorku, która była dłużniczką banku Morgana — ojca. Pierpont już wówczas wykazał takie kwalifikacje umysłowe, że stary Morgan nie wahał się posłać go New-Yorku z poleceniem wzięcia w swe ręce kierownictwa chylącej się do upadku instytucji. Zaledwie kilka miesięcy pobytu w stolicy Stanów Zjednoczonych wystarczyły Morganowi, aby będącą na krawędzi bankructwa firmę postawić na nogi. Usunął się więc z niej, mając ułożony własny plan i pragnąc go zrealizować.

Będąc jeszcze urzędnikiem w banku swego ojca, nagromadził sobie Pierpont trochę kapitału, którym na własną rękę operował na giełdzie. A ponieważ już we wczesnej młodości zdradzał prawdziwy genjusz finansowy, przeto zbytecznem będzie zaznaczyć, jak świetnie prosperowały prowadzone na własny rachunek jego operacje giełdowe. Będąc w Ameryce, nagromadził sobie przyszły król Finansów jeszcze trochę pieniędzy i wówczas to uznał, że nadeszła chwila odpowiednia do poszukania sobie wspólników i założenia... banku własnego.

Sława, jako o zdolnym finansiście, już dawno o nim krążyła. Tedy kuzyn jego, James Goodwin, jak również pewien buchalter bankowy, Dabney, dowiedziawszy się, że młody Morgan poszukuje wspólników, wnet pospieszyli z propozycją oddania mu całej rozporządzanej przez nich gotówki. Pierpont propozycję przyjął, lecz pod warunkiem, że obaj wspólnicy nie będą wtrącać się do spraw kierownictwa banku. Jedynie on, Morgan, będzie instytucją zarządzał, jedynie on będzie odpowiedzialny za rezultat prowadzonych operacji.

Morgan skromnie zainstalował swój bank na Exchange Place'u w New-Yorku, w skromnym lokalu niewielkiego domu, na drugiem piętrze. Prowadzone stopniowo na drobną skalę tranzakcje finansowo-giełdowe z każdym dniem wzrastały w dwójnasób. Jak zwykle, posługiwał się Morgan jedynie metodami bezwzględnie uczciwemi, co nieomieszkało zwrócić ku niemu zaufania publiki. Powoli też topniała klijentela innych banków nowojorskich, a jednocześnie wzrastała nieproporcjonalnie klijentela banku Morgana. Kilka lat takiej dyrekcji wystarczyły, aby bank „Dabney, Morgan and Goodwin" stał się jednym z najpotężniejszych w New-Yorku i aby zaważył na szali rynku pieniężnego nietylko Ameryki, lecz i Europy.

W epoce największej prosperacji banku Morgana i w epoce największego rozgłosu, popularności, jaką się cieszył Pierpont, wybuchła w Ameryce pamiętna wojna cywilna pomiędzy Stanami abolicjonistycznemi (Ameryki Północnej) i Stanami anty-abolicjonistycznemi (Ameryki Południowej.

Po dwuch porażkach pod Bulls Run, dnia 21 lipca 1861 r. i dnia 30 września 1862 r., podczas których armja federacyjna została doszczętnie rozbita przez armję Konfederacji Stanów Południowych, pozycja prezydenta Abrahama Lincolna zdawała się być zgubiona na zawsze a wraz z nią i idea republikańska i szlachetna misja abolicjonistyczna.

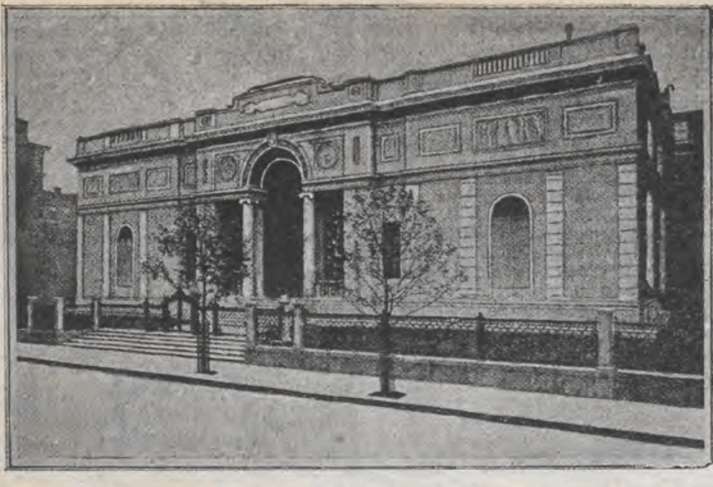
W takiej to krytycznej chwili nastąpiła interwencja Morgana — który bynajmniej nie ukrywał swych przekonań republikańskich i humanitarnych — i interwencja ta była tak na czasie, była tak skuteczna, tyle dobrego wyrządziła Ameryce, że zjednała Morganowi tytuł *zbawcy ojczyzny* i imię jego zapisała na najpiękniejszych kartach Dziejów Ameryki.

Interwencja Morgana polegała głównie na tem, że dostarczył Lincolnowi — pomimo trudności i nieprzezwyciężonych zdawałoby się przeszkód — całej sumy pieniędzy, jaka była niezbędna na podtrzymanie walki. Morganowi udało się również, za pomocą genjalnie pomyślanego fortelu finansowego, przeszkodzić Konfederacji Stanów Południowych sprowadzenia do Ameryki przygotowanej dla niej w Londynie floty.

Jeszcze bardziej doniosłą i bardziej dla ojczyzny zbawienną rolę odegrał Morgan podczas słynnego krachu pieniężnego, jaki przechodziła Ameryka w latach 1893 — 1895. Zawartość złota w bankach amerykańskich równała się wówczas zeru, obywatele wycofywali zewsząd swoje



Pierpont Morgan i jedyny jego syn, Jack, spadkobierca całej fortuny ojca.



Bibljoteka Morgana, cała zbudowana z białego marmuru w stylu Renesansu włoskiego.

oszczędności, zagranica ani grosza pożyczki udzielić nie chciała, panika w Stanach Zjednoczonych była tak wielka, że dzieje Ameryki podobnej nie pamiętają. Zwrócono się w końcu do Morgana — sfery amerykańskie wogóle go unikały, gdyż Morgan za pierwszy warunek jakiejkolwiek akcji, wymawiał sobie zupełną samodzielność, zupełne niewtrącanie się w to, co uczyni i jakiemi środkami uczyni — otóż zwrócono się doń wówczas tylko z konieczności, a on, postawiwszy swoje warunki działania bezwzględnie samodzielnego, opracował w ciągu 24 godzin projekt, który i tym razem, można powiedzieć, zbawił Amerykę. Prawda, we wszystkich sprawach pomagał Morganowi jego autorytet moralny oraz nieskazitelny charakter, które otwierały mu wrota do wszystkich instytucji finansowych świata.

Popularność Morgana sięga swego szczytu, gdy okazał skuteczną pomoc i armji narodowej.

Aż do roku 1877 wojsko i oficerowie Unji amerykańskiej byli płatni za pomocą t. zw. bonów skarbowych, które jednak dyskontowano z wielką trudnością, bardzo często za pobraniem 27 procent. Otóż pewnego dnia rozeszła się wieść, że bank Morgana będzie odtąd dyskontował bony skarbowe, będące pensją dla wojska, za pobraniem *jednego procentu*. Nie wierzono własnym uszom. Wojskowi pośpieszyli do banku Morgana, aby się przekonać raczej o nieprawdziwości krążącej pogłoski. Lecz jakież było ich zdziwienie, gdy istotnie wypłacono im wszystkie bony za pobraniem 1 procentu dyskonta?.. Wołano wówczas na ulicach New-Yorku „Niech żyje szlachetny Morgan!“

Cechą charakterystyczną — i która wydaje się nawet nieprawdopobną — tego znakomitego człowieka był absolutny brak jakichkolwiek ambicji politycznych. O polityce nie odzywał się Morgan inaczej, jak ze wstrętem. Wszelkie zaofiarowywane mu mandaty i godności odrzucał bezwzględnie. Nie przyjął nawet tytułu przewodniczącego klubów, które powstanie swe zawdzięczały jego pomocy materjalnej. Natomiast bardzo chętnie zapisywał się na członka towarzystw... filantropijnych i naukowych.

Nasuwa się tutaj pytanie, dlaczego Morgan znalazł się na czele tylu trustów, że prawie wszystkie znalazły się pod jego kierunkiem lub kontrolą? Sądzę, że w misjach tych kierowały nim pobudki natury moralnej i że tak powiem fachowej. Morgan wiedział, że nie sposób przeszkodzić tworzeniu się trustów, które są nieuniknionym skutkiem amerykańskiej gospodarki kapitalistycznej. Wiedział z drugiej strony, że trusty znajdują się w rękach amerykańskich przemysłowców i finansistów, którym przewodzi, jak każdemu wogóle Amerykaninowi, jedno tylko marzenie: nagromadzenia jaknajwiększej fortuny, choćby kosztem bandytyzmu giełdowego, — nie wróżą nic dobrego ani ludzkości, ani krajowi; tedy, wiedząc to i wierząc jednocześnie w pożyteczność trustów „racjonalnie i uczciwie gospodarowanych“ wolał niejako Morgan sam stać na ich straży, pilnować linji demarkacyjnej, poza którą kończy się kupiecka lojalność. Wszystko to pojmował on, oczywiście „po amerykańsku“.

Pobudka zaś fachowa tłomaczy się tem, że w kierownictwie trustów i przedsięwzięć finansowych na wielką skalę znajdował Morgan ujście dla swych niepoślednich zdolności kalkulacyjnych, i pole dla rzetelnego popisu, pole na którem jego finansowy genjusz mógł harcować w najlepsze. „Cała Ameryka — mówi ktoś — wierzyła w Morgana jak w mistrza nad mistrzami na polu operacji finansowych i przemysłowych“.

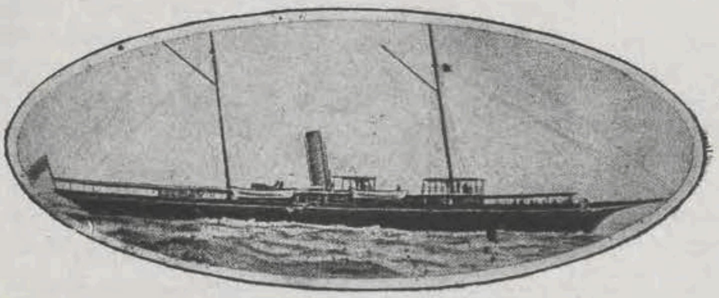
Niektórzy ekonomiści paradoksalnie twierdzą, że moc kapitalistycznego ustroju wyraża się nie w sile kapitału, lecz w zdolności obracania kapitałami. Należycie uprzemysłowiony i sfinansowany mózg panuje nad rynkiem wszechmocniej od miljardów, które zgromadzone są w rękach ludzi mniej utalentowanych. O Morganie mówią obywatele Stan. Zjednocz., że był władcą świata gospodarczego, ponieważ nawskroś ten świat przeniknął w całym jego ustroju, we wszystkich sprężynach jego mechanizmu. Cokolwiek powiedzieć można o organizacji kapitalistycznej, o jej drapieżności i kupiectwie, ma ona jednak w sobie i wielkie twórcze pierwiastki. Potężne jej konstrukcje czasami z niepospolitą genjalnością mnożą dobra, rozszerzają wyniki produkcji i spożycia, dostarczają pracy korzystnej poszukującym jej rękom i głowom. Takiemi właśnie były owe wielkie konstrukcje finansowe, które tworzył Morgan. Opanowując targowisko, będąc jego dyktatorem, rozmnażał kapitały. Oczywiście pokaźne łupy brał sobie, ale udział w tem produkowaniu bogactw przypadał w dużej mierze całemu społeczeństwu amerykańskiemu.

Morgan, jak wiadomo, tworzył trusty. O tej jego roli mówi pewien biograf: „*Trust* — owa potworna postać monopolitycznej organizacji przedsiębiorczej, z którą postanowił walczyć obecny prezydent Unji amerykańskiej, Wilson, miała

w Pierponcie Morganie nietylko gorącego zwolennika, lecz jednego z najgenjalszych twórców. Nie był to bowiem zgoła reformator ustroju ekonomicznego w duchu nowoczesnych wymagań społecznych. Przeciwnie, z całym fanatyzmem syna epoki wielkokapitalistycznej rzucał się w wir interesów giełdowych, bankierskich, spekulacyjnych, wielkoprzemysłowych, hołdując metodom najbardziej wybujałego kapitalizmu. Był w tej dziedzinie budowniczym w wielkim stylu, który powoływał do życia najbardziej złożone kombinacje finansowe. Budował z cegieł i cementu, dostarczanych przez ustrój gospodarstwa kapitalistycznego, nie zastanawiając się zgoła nad tem, że ta budowa może uchodzić za nielojalną. Lecz w granicach tego ustroju nie przekraczał uczciwości kupieckiej. Podstępów, szachrajstwa, szulerki nie było w jego operacjach finansowych. Był natomiast wielki zmysł inicjatywy, genjusz przedsiębiorczy i znajomość wszystkich tajników społeczno-gospodarczej organizacji współczesnej".

Morgan nie zawsze tworzył z jednakowo świetnym wynikiem. W jego działalności były obok wielkich rzutów, które dawały nieomylne rezultaty, przedsiębiorstwa chybione. Tworząc trust żeglowy, trust Oceanu, zastosował do operacji tej te same metody, co do trustu stalowego — i zawiódł się. Lecz dzięki bystremu oku strategika giełdowego, umiał Morgan w porę wycofywać się z niebezpiecznych sytuacji.

Obok trustów tworzył król Finansów bardzo pożyteczne dla życia ekonomicznego fabryki, instytucje kredytowe, drogi żelaznie. Przerobił i podniósł na wysoki szczebel kultury gospodarczej znaczne dziedziny ustroju ekonomicznego Stanów Zjednoczonych. Wciągając do swoich przedsiębiorstw obce kapitały, nigdy ich nie zawiódł, nigdy przy podziale zysku nie zdradził niczyjego zaufania. (d. c. n.) *S. Auerbach.*



Jacht Morgana „Korsarz", prawdziwe cacko morskie.

ZIELONE OCZY.

W chwilach, gdy we mnie ból już szczytu swego sięga,
Gdy czuję, że już wkrótce wśród rozdroży padnę,
Na chłostę burz ramiona oddawszy bezwładne,
Że żadna mnie do życia nie wskrzesi potęga,—
— Dziwne oczy w przestrzeni nagle mi się jawią,
Skuwając mnie do siebie, swoją głębią pawią.

Zielono-pawie oczy patrzą uporczywie
W samo serce — i wiem już, że wszystko odgadły,
Bo rozbłysły trzykrotnie i nagle pobladły,
Ale blask ich ostatni, który jeszcze żywie
Swem dziwnem czarodziejstwem złoci mnie i pali
I każe bym się dźwignął i szedł w mękę dalej.

Te oczy gdzieś widziałem — tylko raz — przez chwilę,
Zda się, w jesienny wieczór — przy czyjejś mogile.

Zygmunt Różycki.

Aleksander Jabłonowski.

Zdala od kraju, nad brzegami Czarnego morza zmarł jeden z najczystszych ludzi, jakich posiadała nauka polska.

Zgasł Aleksander Jabłonowski. Urodzony w 1829 roku na Mazowszu, kształcił się na Zabużu Podlaskiem, w Drohiczynie i Białymstoku, poczem, w r. 1847 wstąpił na uniwersytet w Kijowie, z którego przeniósł się do Dorpatu. Po ukończeniu studjów uniwersyteckich ruszył na wędrówkę po Słowiańszczyźnie, z chwilą zaś zniesienia rygoru paszportowego dla podróży zagranicznych, w 1859 r. Jabłonowski pojechał na zachód. W paroletnich wędrówkach po wszechnicach europejskich zetknął się młody historyk z najwybitniejszymi przedstawicielami inteligencji emigracyjnej — z Duchińskim i Lelewelem, który wywarł znaczny wpływ na prace naukowe Jabłonowskiego.

Po powrocie do kraju w 1861 r. Jabłonowski krótko zabawił w Warszawie. Z rozkazu administracji wyjechał na Ukrainę, gdzie spędził kilka lat. Jakkolwiek zmarły zaliczał się do „białych", jednak brał czynny udział w wypadkach ówczesnych, na skutek czego oparł się aż w Penzeńskiej gubernji.



Ś. p. Aleksander Jabłonowski.

W 1868 r. Jabłonowski wrócił do Warszawy i rozpoczął żywą działalność naukową i wydawniczą. Studja, szkice i rozprawy pojawiały się jedne po drugich. Przyczynił się do założenia świetnego „Ateneum", do spółki z nieboszczykiem Pawińskim rozpoczął wydawnictwo materjałów historycznych.

Działalność naukową zmarłego spotkało należyte uznanie. Piastował godność prezesa Warszawskiego Tow. Naukowego, był członkiem Akademji Umiejętności i stowarzyszeń pokrewnych.

W życiu politycznem zawsze brał czynny udział; narodowa-demokracja traci w nim jednego z najuczciwszych i najczynniejszych członków.

Sprowadzeniem z Odesy zwłok ś. p. Aleksandra Jabłonowskiego zajmuje się komitet Tow. Naukowego, którego zmarły był prezesem.

Humor

Wesołki perskie.

(z perskiego).

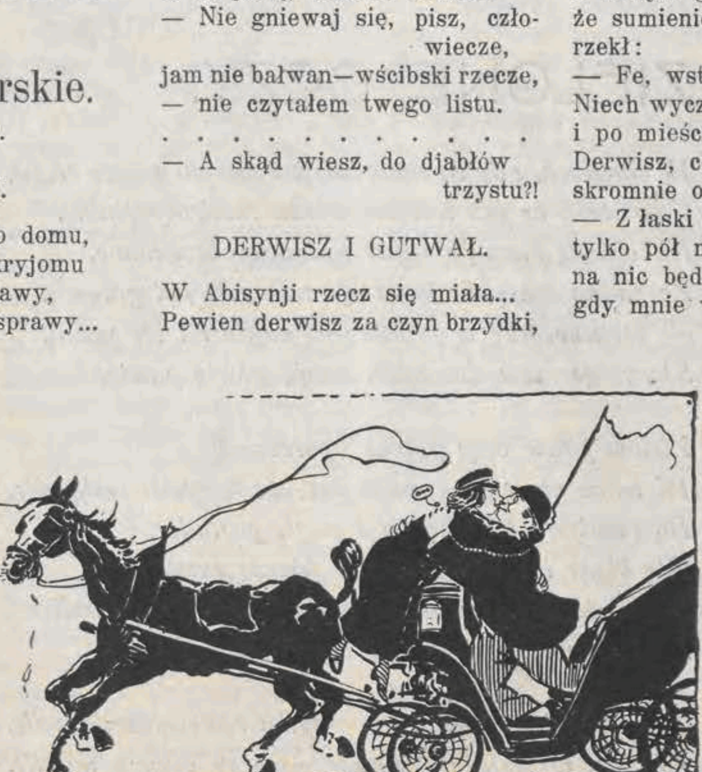
WŚCIBSKI.

Ktoś, co pisał list do domu,
patrzy... — zerka pokryjomu
jakiś wścibski i ciekawy,
łasy zbyt na cudze sprawy...
A więc dalej tak poczyna:
— Kończę list, a ta przyczyna,
że koło mnie bałwan siedzi...
i, co piszę, bacznie śledzi...
— Nie gniewaj się, pisz, człowiecze,
jam nie bałwan—wścibski rzecze,
— nie czytałem twego listu.
. . . .
— A skąd wiesz, do djabłów trzystu?!

DERWISZ I GUTWAŁ.

W Abisynji rzecz się miała...
Pewien derwisz za czyn brzydki,
czy za jakieś inne zbytki,
był sprowadzon przed gutwała.
Czarnolicy głowa miasta,
o którym głosiła fama,
że sumieniem także szasta,
rzekł:
— Fe, wstydź się, taka plama!
Niech wyczernią ci twarz sadzą
i po mieście oprowadzą!..
Derwisz, co nie bity w ciemię,
skromnie oczy utkwił w ziemię:
— Z łaski twej ozdobić w sadze
tylko pół mej twarzy radzę,
na nic będzie kara cała,
gdy mnie wezmą za... gutwała.

Remigjusz Kwiatkowski.



Miłe skutki równouprawnionego dorożkarstwa. (rys. St. J. K.)



Femina

TEATR POLSKI „PANNY”.

TUALETY.

Akt I. P. Halina Starska. Ubranie sportowe letnie. Spódnica z białego woalu cała plisowana — bluza dosyć długa *modern-style*, z popielatego *crêpe de Chine*, śliczna biała czapeczka, jasno popielate pończoszki jedwabne, białe trzewiki, całość postaci tchnąca wdziękiem i młodością.

Akt II. P. Laura Duninówna. Tualeta domowa z *satin duchesse*, koloru *gorge de pigeon*, spódnica modnym krojem odsłaniającym stopy, pas *bayadère* z szarfą—bluzka *aeroplan*, znakomita charakteryzacja pięknej twarzy (nasza rycina)

Akt II, p. H. Starska. Tualeta domowa biała z *crêpe de Chine* z bardzo zręczną draperją tworzącą rodzaj długich *paniers*. Śliczne młodociane uczesanie.

Akt IV, p L. Duninówna Tualeta podrożna, pokryta długim pięknym ciemnym płaszczem, popielaty kapelusz z długim welonem.

Akt IV p. H. Starska Tualeta podróżna. Spódnica z białego *drap de dames*, krótka i wązka, ozdobiona guzikami. *Veste-casaque* z materjału *éponge* koloru *orange*, biała czapeczka, żółte trzewiczki *éscarpins*, żółte jedwabne pończoszki. (nasza rycina)

Marcèle.



Akt II. P. Laura Duninówna.
Fot. Malarski i Tavrell.



Akt IV. P. Halina Starska.
Fot. Malarski i Tavrell.

STAROŻYTNOŚCI.

Sama już nazwa budzi pojęcie czegoś niezwykłego, wartościowego, kosztownego—i bardzo słusznie, bo w ostatnim ćwierć wieku nic tak nie podskoczyło w cenie i nie zyskało na wartości jak stare przedmioty sztuki.

Pierwsze miejsce w starożytnościach trzymają bezprzecznie obrazy starych mistrzów. Jest to najintensywniejszy i najkosztowniejszy sport zbieraczy. Niestety niewielu z nich danem jest sport ten uprawiać, gdyż na to by zbiory swoje powiększyć dajmy na to *Rembrandtem* istotnie autentycznym i uznanym za takiego przez odnośne powagi, trzeba być więcej jak miljonerem, to samo da się powiedzieć o dziełach *Van Dyck'a,FranciszkaHals'a*, i t.p. nie mówiąc już o zupełnie starych obrazach hiszpańskich włoskich i niemieckich mistrzów, które są dla zbieraczy zupełnie niedostępne, gdyż znajdują się tylko w muzeach i zamkach.

Następnie jedno z najpoważniejszych miejsc w starożytnościach zajmują okazy epoki romańskiej i gotyckiej, nieobfitej jednak w meble i sprzęty domowe, gdyż nieliczne okazy skarbów z tej epoki ukazujących się na rynkach, pochodzą przeważnie z klasztorów i kościołów i polegają po większej części na lichtarzach, kielichach, witrażach i materjałach, które swego czasu służyły jako rekwizyty kościelne lub pokrycia ołtarzy. Z tejże epoki znajdują się rzeźby w drzewie, niezmiernie wysoko c e n i o n e, coraz rzadsze i zapewne dla tego tak modne i poszukiwane.

Do rzędu cennych starożytności należą dzieła sztuki pochodzące z Chin, znajdujące się na wysokim artystycznym poziomie i przez zbieraczy rozschwytywane. Również ulubione przez wielkich kolekcjonerów, są wspaniałe okazy stylu *Barok i Rokoko*, w północnej Europie są one trochę cięższkie jakby przeładowane, ale zawsze eleganckie, na Zachodzie i Południu, zwłaszcza we Francji, są lżejsze i wytworniejsze.



Współczesna kobieta w starym fotelu.

W tym samym, mniej więcej, okresie powstała nowa gałęź sztuki, zasilająca obecnie w znacznej mierze handel starożytnościami, mianowicie fabrykacja porcelany. Manufaktury w *Mejzen, w Sevres, w Berlinie*, popierane przez odnośnych panujących, wydały zdumiewające rezultaty, piękność, artyzm, oryginalność produkcji, zachwycały już współczesnych i właśnie te pierwsze, te najstarsze okazy, *vieux Mejzen, vieux Sêvres, vieux Berlin*, należą dziś do najrzadszych, dostępnych tylko dla wybranych czego oczywistym dowodem służyła grupa, *dam w krenolinach* (vieux Mejzen), 12 centymetrów wysoka, sprzedana w 1911 roku pewnej Węgierskiej magnatce za pokaźną sumą 14,800 marek. Cesarska chińska manufaktura porcelany *Satsuma* w starych swych okazach, jest bardzo przez amatorów ceniona i poszukiwana.



U antykwarjusza.

Empire czyli styl cesarstwa oraz styl *Biedermeier* dostaiczają całego kontyngensu pięknych artystycznych przedmiotów mebli — cacek i całego wielkiego z d o b n i c t w a mieszkań i rozlicznych domowych i osobistych przyborów. Te zasadnicze, podstawowo-epokowe starożytności, posiadają oczywiście setki—tysiące najrozliczniejszych odmian, przemian i działek, właściwych każdemu krajowi, każdej narodowości, ztąd też na tym horyzoncie powstawały i powstają przeróżne zbiory, stosowane do poszczególnych upodobań zbieraczy, którzy sami dzielą się na rozliczne kategorje zawodowców, amatorów—dyletantów, a nawet maniaków. Inaczej się prowiduje zawodowy handlarz - antykwarjusz, inaczej wielki pan znawca—amator, inaczej wytworna dama, uważająca kolekcję jako sportową zabawkę.

Jak wielką ozdobą pięknego męskiego gabinetu mogą być dwa staro-holenderskie obrazy wiszące na ścianach, jak wytwornie zdobi *modern style* buduar, ładna kolekcja wachlarzy we właściwem oblamowaniu lub zbiór miniatur z czasów Ludwika XV!

Jakże slicznie wyglądą naprzykład — współczesna pani — w starym fotelu!.. Te dwa style w połączeniu... są zachwycające!..

Marcèle.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

27)

BOHATER.

POWIEŚĆ.

(Dokończenie).

Nie słyszał huku armat, nie widział, padającego gęsto trupa, w swoich szeregach.

Sprawa była przegrana niewątpliwie i bezpowrotnie; pozostawało im tylko rozpaczliwe pragnienie chwalebnej śmierci, a imaginacja jego rozigrała się wtedy właśnie najcudniejszymi obrazami szczęścia i rozkoszy...

Gdzie granice myśli rozumnej i chorobliwego obłąkania?

Otworzył oczy i przyglądał się uważnie swemu kikutowi. Choć jeszcze siny, zaciągnięty skórą o obrzydliwie połyskującej powierzchni był już jednak zagojony zupełnie.

Jak długo trwać mogło, to jego odrętwienie?..

Przez okna widział dachy pokryte śniegiem. W blasku słońca iskrzyły się one oślepiającą białością.

Gdzie jestem? W jakim kraju, w jakim miejscu, w jakim czasie?

Po prawej i lewej stronie wdłuż wielkiej sali ciągnęły się długim szeregiem łóżka, takie same na jakiem on leżał.

— Szpital!

Spróbował głosu?

— Hej!

Krzyknął tęgo, aż chorzy leżący obok niego podnieśli trwożnie głowy.

Przybiegł posługacz i mówił coś uradowany, ale mówił tak okropnym szwabskim narzeczem, że kapitan wogóle nie nazbyt w niemczyźnie mocny, nie zrozumiał ani słowa.

— Wo bin ich? Powtarzał uparcie jegno pytanie.

Posługacz, widząc, że się sam dogadać nie potrafi, pokazywał coś na migi i wybiegł pośpiesznie.

Po chwili wracał, prowadząc ze sobą siostrę miłosierdzia.

Kiedy się nachyliła nad kapitanem poznał w niej pannę Martę.

Narazie zdawało mu się, że w dalszym ciągu jest ofiarą jakichś zwidzeń niepojętych, ale skoro powitała go słodkim głosem, uwierzył w prawdziwość zjawiska.

— Pani, pani? panna Marta?

— Tak kapitanie. To ja! Jakże się cieszę, że mnie waćpan poznajesz. Od dwóch miesięcy czekaliśmy na to w najwyższym niepokoju. Były już chwile, żeśmy zwątpili...

Urwała.

— Co się ze mną działo?

— Byłeś waćpan nieprzytomny... Baliśmy się, że już może nigdy...

— Ach!

— Na szczęście młody organizm zwalczył chorobę. Znaleziono waćpana w okropnym stanie. Wydobyto z pod kupy trupów prawie trupa... Mundur oficerski zwrócił uwagę lekarza. Spostrzeżono, że jeszcze żyjesz... Zrobiono operację, jaknajstaranniej, ale przyplątało się zapalenie mózgu...

Może kula, ciągnęła dalej panna Marta, może kula, która strzaskała waćpanu kość czołową, nadwyrężyła jakąś część mózgu... może inne wstrząśnienia... lekarze tutejsi nie rokowali nic dobrego... A jednak...

— Więc jesteśmy?...

— W Lipsku.

— Ach! ciągle w Lipsku!

— Jesteś już kapitanie ostatnim z naszych rannych. Wszyscy, którzy nie zmarli, wrócili już dawno do domów wyleczeni.

— A sprawa?

— Przegrana bezpowrotnie.

— A książę?

— Zginął śmiercią walecznych, jak na bohatera przystało.

Zamilkli.

Łza stoczyła się po policzku siostry Marty. Kapitan uczuł nagle dokoła siebie straszliwą, beznadziejną pustkę. Ale po chwili, jakby wstydząc się swego czynu z największą nieśmiałością ujął lewą swoją ręką dłoń panny Marty i przycisnąwszy ją do ust, szepnął cicho.

— A żona moja?

— Czeka waćpana niecierpliwie a w tej chwili... może... może nie sama?

— Ach!

Jakże mu pilno było teraz do zdrowia.

. . . .

Rekonwalescensja kapitana od czasu odzyskania przytomności postępowała niezmiernie szybko. W tydzień niespełna po tem mógł już znieść trudy podróży.

Wyruszono nie zwlekając w drogę.

Jechał pod opieką swego Anioła Stróża. Panna Marta wiozła go wprost do swojej Wólki w Podlaskiem omijając Warszawę.

— Dla czego do Wólki?

— Wioskę waszą na Litwie skonfiskowano, jak również wszystkie majątki Rytwianów, tłomaczyła panna Marta. Odstępuję wam tedy to swoje dziedzictwo na własność.

— Jak to? Nie rozumiem.

— Oh, mówiła z westchnieniem.. Zostawił mi ojciec dość znaczną fortunę; poczciwy cześnik powiększył ją jeszcze dobrą gospodarką, ale mnie już dóbr ziemskich nie trzeba... Ja już nie dla świata...

. . . .

— Ach, ktoby przypuścił coś podobnego, dziwiła się hrabina Anna Potocka, skoro się dowiedziała, że panna Marta została szarytką i pielęgnuje chorych w szpitalu św. Rocha w Warszawie. Ktoby przypuścił, mówiła u siebie na zebraniu, że dziewczyna, której oczy tak gorąco płonęły na sam dźwięk imienia kochanego Peppi, zostanie siostrą miłosierdzia.

Nigdy nie zapomnę wyrazu jej oczu wtedy na balu u pana de Pradt.

. . . .

Kapitan zastał już w domu syna. Dano mu imię Krystyn.

. . . .

Krzyś miał zaledwie lat szesnaście w roku 1831. Na pierwszy odgłos ruchu zaciągnął się do pułku ułanów. Pod Stoczkiem stracił rękę, jak ongi ojciec pod Lipskiem.

KONIEC.

MARJAN ORLICZ.

9)

JAK W BAJCE.

POWIEŚĆ.

— Szczęśliwiście moi panowie. To już w waszej organizacji leży taka dzielność.

— Tego szczęścia każdy może dostąpić; trzeba tylko umieć chcieć. Widziałem jak się pan żegnał z kolegami. A tożby nasz brat nie rozczulał się bardziej, idąc na stracenie! Jeśliby pan tak, jak każdy z nas, po kilka razy na dzień śmierci zajrzał w oczy, zahartowałoby to pana. Gdyby pan był narażony na ciągłe emocje: idziesz bywa ulicą i myślisz, jak tu podejdzie jaki stupajka a zakomenderuje: „ruki w wierch“, a obmaca ci kieszenie, zginąłeś. A mimo to, kroczysz śmiało, z grandezzą, jak jaki najlojalniejszy „mydlarz“.

Żarski uczuł się strasznie małym: podporządkowywać tak wszystko swojemu „ja” cieszyć się własną radością smucić swoim jedynie smutkiem, kiedy tysiące z życia swego stos ofiarny układają...

— Śledzi pan za procesem pani Steinheil? — przerwał jego zadumę Riazancew— to rzecz niebywała: kobieta światowa, inteligentna, artystka w każdym calu pod zarzutem matko i mężobójstwa, niesłychane!

— Jakżeż nie śledzić? Toż cały Paryż rozsteinhelizowany. Jak też pan myśli, uniewinnią ją?

— Panie, w Paryżu uniewinnią każdą piękną kobietę. Gdyby to stara, brzydka, biedna, to huzia na nią, ale taka... piękna Meg.....

— Jaby sądził przeciwnie, że właśnie w Paryżu...

— Aa, „ville lumiére”, „cerveau du monde”... Młody pan jeszcze bardzo, panie kochany. Widział pan kiedy wodę pokrytą tak zwaną rzęsą? Prawda, że to wygląda jak piękna, zielona łączka? Ale zbierz pan tę powłokę, a ujrzysz wstrętne, grząskie bagnisko. Świat, to taka łączka panie, nie trzeba ruszać „rzęsy”. Nie wie pan może, że jej uwolnienia, czeka cała falanga epuzerów? — A co, jak się pan zdziwił.

Kiedy w szalonym wirze dworca ber-

lińskiego, trzeba było poszukać miejsca, porozumieć się z gepäckträgerem. Żarski nie mówiący wcale prawie po niemiecku, delektował się towarzyszem, a że miał w życiu zawsze szanse być obsługiwanym i wyręczanym, zdał chętnie wszystko na niego.

Ulokowali się znowu razem.

Długo w noc rozmawiali, jak gdyby starzy znajomi, aż wreszcie student z głową opartą o grzbiet ławki zasnął twardo.

Żarski nie umiał spać w podróży, wyjął z walizki karnet i począł szkicować.

Typowa głowa studenta z prosto przyciętymi długimi włosami, o pięknie sklepionym czole i energicznym zarysie ust, występowała coraz wyraźniej na brystolu karnetu.

W tej chwili kontroler przyszedł sprawdzić bilety.

Riazancew się obudził.

— Długo się pan zatrzyma w Warszawie? spytał Żarski.

— Jeden dzień.

— A to możebyśmy gdzie stanęli razem? bo ja jeszcze nie wiem, gdzie znajdę „locum".

— Nie radziłbym panu zamieszkać ze mną. Mam wprawdzie paszport w porządku, jednak kto może wiedzieć...

VII.

Pani Helena Lindner tylko co wróciła z Ostendy. W mieszkaniu snuł się przykry zapach naftaliny, żyrandole i obrazy były dotąd osłonięte, meble w pokrowcach, drzwi i okna nagie.

W obszernej, eleganckiej sypialni panował jeszcze zupełny mrok.

Stara sługa, niegdyś niańka pani Lindnerowej, wsunęła się na palcach i postawiła obok łóżka tackę ze śniadaniem.

Pani Helena otworzyła oczy.

— Ktora to tam godzina, Franusiowo?

— Jedenasta, panienko — stara od czasu do czasu się zapominała.

— Patrzcie, ja tak długo spałam? „Tyle szczęścia, co człek prześni", — pomyślała.

— A kiedyż moja gołąbeczka będzie się wysypiała, jak nie teraz. Na starość, to już tylko, aby się przedrzemnąć.

— Bo to ja doczekam starości, moja nianiu?

— A zawsze paniusia powie coś takiego, że jakby kto nożem obrócił w starym sercu.

— No już nie powiem, nie powiem. Listu nie było żadnego?

— Nie, proszę pani. Ale był tapicer i powiedział, że z pomocnikiem przyjdzie po południu.

— O, to dobrze, będzie zajęcie.

— Proszę paniusi, kucharka się pyta, czy może wejść po dyspozycje.

— Dobrze niech przyjdzie.

Po chwili gruba jejmość ze świecącą jak rondel twarzą stanęła u drzwi.

— Proszę pani pieczyste mamy, ale co zrobić na pirsze?

— A zróbcie, moja Klimusiu, co chcecie. Może rozbef?

— Kiedy pan, proszę pani nie lubi.

— To pomyślcie sami co. Już cały obiad sami ułóżcie, moja złota; ja jeszcze taka zmęczona.

Klimowiczowa wytoczyła swoją potężną figurę.

— Musi nasza pani nie bardzo pana lubi, — rajcowała w kuchni, nawet jej się nie chce pomyśleć, coby dla niego. Jagem była po jenszych młodych menżatkach, to to z pół godziny obmyślało a co, a jak, a tanie — zrób, co chcesz. Mnie ta za jedno, ino że nie kochająca żona, to nie kochająca. A pan la niej taki dobry: i pieniędzy kupa nie pożałuje, i podaronek przyniesie. Nie wartą ona jego. Że ta czasem pobaraszkuje z kториom, to od tego meszczyzna. A toto, jakieś zawsze smutne zawsze osowiałe. Żeby tak w naszem stanie, jakby ta zdzielił raz, drugi, zaraby się grymasy po kościach rozeszły.

Hela tymczasem wstała.

W rożowej matince, z odkrytą szyją i chmurką jasnych włosów nad czołem, wyglądała jak marzenie.

— Ach, mój Boże, dzwonią, plasnęła w ręce, któż to może być o tej porze? Moja nianiusia, niech Jan poprosi do gabinetu, a ja tymczasem zarzucę szlafroczek.

Za jej wejściem zerwała się z fotelika młoda, przystojna brunetka.

— Mila! jak to poczciwie, mówiła, ściskając ją serdecznie pani Lindner.

— Przepraszam, że tak wcześnie, ale tak mi pilno było zobaczyć cię.

— Jak możesz przepraszać? Przecieżeśmy nie widziały się długie miesiące. Cóż porabiasz? jak z twoim zdrowiem? No i nie wyjeżdżałaś nigdzie, uparciuchu?

— Przyznam ci się, że trochę żałuję mego uporu, nie tęgo się czuję. No, a ty co porabiasz?

— Żyję, jak widzisz, jeśli to życiem nazwać warto.

— Moja Helu, czy ty na prawdę nigdy się nie wyleczysz z tego rozgoryczenia?

— Wyleczyć się można z czegoś antidotem, a jakiż ja mogę znaleźć?

— Mówisz doprawdy jak ktoś zupełnie od życia oderwany.

— Ani przypuszczasz jak bardzo nią jestem — usta jej zadrgały jak u skrzywdzonego dziecka.

— Ależ, Helu, sama się podniecasz, przecież ostatecznie nic takiego niema. To samo w większości małżeństw. Miałaś zresztą czas już się przyzwyczaić.

— Nie mogę... nie mogę... taka nuda, taka pustka wewnętrzna — mówiła łamiąc nad głową ręcę. — Ty szczęśliwa małżonko wcale się wmyśleć nic nie możesz...

— Ależ przeciwnie, Helu, tembardziej mogę się wmyśleć. Jaka to jednak szkoda że nie masz dziecka...

— Może i nie szkoda: nie wiem, czy umiałabym kochać jego dziecko...

(d. c. n.)

STEFAN GACKI.

Kochany pan Majer.

NOWELA.

— Ah, gdybyś ty widział, co się teraz dzieje w Paryżu! Nie mogłam się powstrzymać i na powrotnej drodze musiałam wstąpić choć na parę dni.

— Z wypróżnioną kieską?

— O nie, ja oszczędzałam i jeszcze sobie parę groszy schowałam na rozmaite drobiazgi. Ale gdybyś ty widział te cuda, które oni tam robią. Choćby tylko bieliznę! To całe poematy! Ale drogie!

— Zwiozłaś pewnie parę tuzinów?

— Tuzinów?! Kto to dziś na tuziny kupuje? Chyba arcyksiężniczki, albo moskiewskie kupczychy... I na kapelusze się zrujnowałam. Kupiłam aż trzy. Ale przyznasz, że na ogół byłam oszczędna, nie wiele wydałam?

— Nie psujmy sobie rachunkami przyjemności.

— Bo chcę, żebyś mi przyznał, że cię nie rujnuję.

— Ależ nie, nie.

Weszła służąca i oznajmiła, że obiad podany.

Pan Majer podniósł się z fotela, ujął żonę wpół i poprowadził do jadalni.

— Chodź już, chodź, to chwilę odpoczniesz przy stole; a gdy pani Mila rozlewała zupę, zapytał ją troskliwie.

— A droga bardzo cię męczyła? Od Paryża już nigdzie się nie zatrzymywałaś w drodze do Pouliquen?

Trzeba było choć na parę godzin wysiąść w Rennes, zobaczyć salę, w której uniewinnili Dreyfusa.

A bo ja przejeżdżałam przez Rennes? Nie wiedziałam nawet. Wiem tylko, że w Nancy pociąg stał z godzinę, z powodu jakiegoś wypadku.

— Chyba w Nantes, kochanię, bo Nancy leży w zupełnie innej stronie.

— To wszystko jedno — Nantes czy Nancy — poplątało mi się.

Śmieli się oboje.

— A w Pouliquen dużo było osób?

— Na plaży ścisk jak w salonie na balu, i hotele formalnie przepełnione. A bawiliśmy się jak dzieci; podczas odpływów chodziliśmy całą kompanją na ślimaki; zdejmuje się buciki i pończochy, brnie się przez kałużę, piasek i trawę morską i szuka się les couteaux. To są takie podłużne ślimaki zupełnie podobne do trzonków noża. Pozostawiają one na piasku maleńkie podłużne dziurki, szuka się ich i pakuje w nie drut, zakończony strzałką; potem przekręca się i wyciąga ślimaka. A krewetki! a krabiki!

— Ale najpiękniejsze to te białe kolan-

ka, które się przytem ogląda, albo pokazuje? — wtrącił pan Majer.

Tam za często się je ogląda, więc powszednieją prędko.

— Jeśli są ładne.

— Ładnych jest wogóle niewiele w świecie.

Przez cały obiad gwarzyli wesoło. Gdy podano kawę, pani Mila podniosła się od stołu.

— Wypij kawę, zapal cygaro, a potem prześpij się trochę, bo wcześnie dziś wstałeś.

— A ty nie jesteś zmęczona?

— Ja spałam trochę po śniadaniu.

Pocałował ją w rękę i, gdy wyszła, wolno popijał kawę, patrzył w niebieskawy dym cygara i z całą rozkoszą poddawał się błogiemu zadowoleniu, które potęgowało się w nim pod wpływem pogodnej atmosfery, którą chłonął w siebie wszystkiemi zmysłami, każdym nerwem i w każdej chwili.

Gdy zwierzał się Wąsowiczowi ze swego szczęścia w życiu, przez jakiś wstyd nie dodał jeszcze, że wszystko, czem się chwalił, niczem było wobec jego życia domowego, wobec tego prawdziwego skarbca, który miał w Mili.

— A to jest jeszcze droższe w życiu, niż życzliwość ludzi.

Filiżanka była pusta, w ręku dogasało mu cygaro.

Przeszedł do swego gabinetu i wyciągnął się na otomanie.

Był naprawdę niewyspany i zaledwie przyłożył głowę do chłodnej skórzanej poduszki, zasnął odrazu.

Gdy się obudził, była już piąta. Przeciągnął się, ziewnął i wyciągnął rękę po papierosa. Paląc, przeleżał jeszcze chwilę.

— Mila pewnie gniewać się będzie, że tak długo spałem. Może chciała gdzieś wyjść? pomyślał, podniósł się z otomany i poszedł czemprędzej do pokoju żony.

Ale pani Mili nie było nigdzie. Zadzwonił na służącą.

— Pani wyszła.

— Dawno?

— Przed chwileczką.

Wszedł do jadalni, pokręcił się po salonie, wrócił do gabinetu, przykrzyło mu się samemu.

— Trzeba pójść do cukierni, pomyślał ubrał się i wyszedł z domu.

By skrócić sobie drogę przeszedł znów przez ogród i już miał skręcić w stronę cukierni, gdy zdala ujrzał w tłumie panią Milę. W pierwszej chwili chciał pobiedz do niej ucieszony. Stała właśnie przed jakąś wystawą sklepową, więc mógłby ją był dopędzić tem łatwiej.

— Zajdzie z tyłu i zagadnie ją znienacka; weźmie ją pod rękę i zapyta, co jej się najlepiej podoba z całej wystawy. Niech wybierze. A potem, nic nie mówiąc, poprowadzi ją do sklepu i kupi jej wybrany przedmiot.

Przyszła mu ochota zrobić jakiś żart, ale nim się zdecydował na coś, pani Mila odsunęła się od okna i przyśpieszyła kroku.

— Gdzie ona może iść? Ciągle jeszcze myśląc nad tem, jakimby ją żartem zaskoczyć, szedł za nią w odległości kilkunastu kroków.

Może mnie ktoś zobaczyć, czającego się tak za własną żoną, pomyślał i przeszedł na drugą stronę ulicy.

— Pójdę za nią krok w krok i wieczorem przy kolacji będę ją intrygował; opowiem jej gdzie była, kogo spotkała po drodze, przed jaką wystawą się zatrzymała. Nie domyśli się, że szedłem o kilka kroków za nią.

Pani Mila zakręciła w jedną z przecznic, stał chwilę na rogu ulicy, by oddaliła się nieco, gdyż tu ruch był mniejszy i łatwo mogła go była spostrzedz. Wreszcie poszedł za nią, ale po innej stronie ulicy.

— Ha, ha, ha, śmiał się już prawie na głos do siebie. Gdzie ona mnię zaprowadzi? Będzie z tego cała przygoda!

Pani Mila zatrzymała się nagle przed jakąś bramą, przystanęła, obejrzała się dokoła i szybko weszła do bramy. Byłby nawet nie spostrzegł, gdzie weszła, tak był rozbawiony tą przygodą. Podszedł bliżej i przyglądał się kamienicy. Na bramie nie było szyldu, więc nie mieszkała żadna tu krawcowa, ani gorseciarka, ani szewc... A może ktoś ze znajomych?

Przeszedł w pamięci wszystkie domy, w których bywali — nie... Nagle przypomniał sobie: Skrodzki! Skrodzki mieszka tutaj. Spojrzał na pierwsze piętro; okno do

gabinetu, w którym często bywał, było oświetlone. A pocóż by ona szła do niego? Skrodzki był kawalerem. Zdziwienie przechodziło w nim w lekki niepokój. Skrodzki był także w Pouliquen, mówiła mu, że niedawno wrócił. Zaczekam i zapytam jej.

Jakiś cień poruszył się na tle oświetlonego okna i światło zgasło. Po chwili przez storę sąsiedniego okna zaczęło się przebijać blade odbicie elektrycznej, przyćmionej widocznie lampy. To był... to była jego sypialnia.

Pan Majer przetarł oczy. — A może to nie była Mila. Ale nie mógł się pomylić. Znał jej czarny aksamitny płaszcz, okładany skungsami i duży kapelusz z piórami strusiemi. Szedł za nią z dziesięć minut. To były jej ruchy. Widział zresztą jej twarz, gdy się obejrzała. Latarnia stoi o dziesięć kroków.

(dok. nast.)

H. DE BALZAC.

6)

Dzieje Trzynastu.

(Z francuskiego).

Jednak dwa te zamachy nauczyły go też pewnej cnoty, nader pożytecznej, a nawet niezbędnej dla każdego polityka; pojął, że w grze życiowej trzeba nabyć przedewszystkiem sztukę udawania, wyrobić w sobie skrytość. Nie rozpowiadać o swej tajemnicy jest rzeczą łatwą. Ale umieć ukryć ją tak, by nikt nie mógł jej odgadnąć, odgrywać komedję i chować na dnie serca i mózgu pewne uczucie, pewien plan — oto sztuka nielada we Francji, gdzie nikt nie potrafi ukrywać swych uczuć i myśli. Baron de Maulincour żył obecnie wyłącznie myślą o pani Juljuszowej. Wciąż obmyślał plany, których wykonanie pozwoliłoby mu zwyciężyć w rozgrywającej się walce swych nieznanych przeciwników. Jego namiętność ku tej kobiecie wzmagała się, dzięki przeszkodom, które napotykał. W jego myślach, w jego sercu panowała pani Julja, już teraz bardziej ponętna z powodu grzechów, o które ją podejrzewał, niż z powodu widzianych w niej dawniej cnót, które uczyniły ją poprzednio jego ideałem.

Chcąc wytropić nieprzyjaciela, baron uznał za możliwe wtajemniczyć w swoje sprawy starego wicehrabiego. Komandor kochał Augusta, jak ojciec kocha dzieci swej żony; był on zręczny, przebiegły, posiadał umysł dyplomaty. Kiedy wysłuchał barona, pokiwał głową, poczem odbyli długą naradę. Poczciwy wicehrabia nie podzielał ufności swego młodego przyjaciela, który sądził, że w naszych czasach policja i władza umieją przeniknąć wszelkie tajemnice, że zwracając się do nich, można być pewnym powodzenia.

Starzec odparł mu:

— Policja, moje drogie dziecko, jest najniezręczniejszą w świecie instytucją, władza zaś — nieskończenie słabą w sprawach osobistych. Ani policja, ani władza nie umieją czytać w głębi serc. A tymczasem, aby wykryć prawdę, trzeba poszukiwać przyczyn psychologicznych danego faktu. Władza zaś i policja są zgoła niepowołane do takiego zadania, gdyż nie posiadają przy poszukiwaniach najważniejszego bodźca: interesu osobistego, który otwiera ludziom oczy, obdarza ich wytrwałością i żądzą dojścia do celu. Żadna władza nie przeszkodzi nigdy zabójcy lub trucicielowi wykonać swój zamiar, dobrać się do serca lub żołądka wroga. Jedyną policją są nasze namiętności.

Komandor doradzał usilnie baronowi, aby udał się do Włoch, z Włoch do Grecji, z Grecji do Syrji, z Syrji wgłąb Azji i nie wracał dopóty, dopóki wrogowie jego nie uwierzą, iż wyrzekł się swych planów i chce milcząco zawrzeć z nimi pokój. Albo też — by nie wydalał się z pałacu lub nawet ze swego pokoju, unikał ciosów tego przeklętego Ferragusa i czekał chwili, gdy będzie mógł zmiażdżyć go napewno.

— Z wrogiem należy stykać się tylko wtedy, gdy możemy uciąć mu głowę, — rzekł poważnie.

Niezależnie od rad tych, starzec przyrzekł swemu ulubieńcowi, że użyje całej przebiegłości, którą obdarzyły go łaskawe nieba, w celu dokonania wywiadów w obozie nieprzyjacielskim i przygotowania pewnego zwycięztwa. Komandor posiadał wśród służby swej starego Figara, najchytrzejszą małpę, jaka kiedykolwiek przybrała postać ludzką, niegdyś człowieka zręcznego, jak sam djabeł, czujnego jak złodziej, podstępnego jak kobieta — obecnie wegetującego w ukryciu wobec przewrotu, jaki dokonał się w społeczeństwie, a który uczynił podobne osobistości zgoła zbytecznemi. Ów wysłużony Figaro czcił swego pana, jak bóstwo, a szczwany komandor, aby wzmocnić wrodzone przywiązanie węzłami interesu, powiększał co rok pensję jego o dość okrągłą sumkę. Toteż stary sługa czuwał nad wicehrabią z troskliwością najbardziej oddanej kochanki. Tę oto perłę sług starej daty, tę postać, przekazaną przez dawne czasy, sługę nie-

przekupnego, gdyż pozbawionego namiętności, zaprzągł komandor do roboty.

— Pan baron zepsułby wszystko — rzekł ten wielki człowiek w liberji, przywołany na naradę. — Niech .pan je, pije i śpi spokojnie. Biorę wszystko na siebie.

Istotnie, w ośm dni po konferencji, w chwili gdy baron de Maulincour, zupełnie już wyleczony, spożywał śniadanie z babką i komandorem, Justyn przyszedł złożyć raport. Z tą udaną skromnością, w którą stroją się ludzie utalentowani, powiedział on, gdy stara baronowa udała się do swych apartamentów:

— Ferragus nie jest prawdziwem nazwiskiem człowieka, który prześladuje pana barona. Ten człowiek, czy djabeł, nazywa się Gracjan-Henryk-Wiktor-Jan-Józef Bourignard. Jest byłym przedsiębiorcą budowlanym, ongi był bardzo bogaty, a przytem cieszył się sławą pięknego chłopca i nieodpartego zdobywcy serc niewieścich. Oto, co wiem o nim: w swoim czasie, gdy był jeszcze prostym robotnikiem, towarzysze z bractwa pożeraczy obrali go swym wodzem, pod imieniem Ferragusa XXIII. Policja powinnaby o tem wiedzieć, gdyby wogóle kiedykolwiek i cokolwiek wiedziała. Osobnik ten przeprowadził się. Nie mieszka już przy ulicy Augustynów, lecz gnieździ się przy ulicy Joquelet; pani Juljuszowa Desmarets odwiedza go często; dość często też mąż jej, udając się na giełdę, odprowadza ją na ulicę Vivienne, czy też: ona odprowadza męża na giełdę. Pan wice hrabia zbyt dobrze zna się na rzeczach tego rodzaju, aby wymagać odemnie, żebym określił, kto kogo prowadzi i odprowadza; ale pani Juljuszowa jest tak piękna, że założyłbym się, iż ona jego. Nasz przyjaciel Bourignard lubi kobietki i uchodzi wśród nich za jegomościa solidnego. Przebiera się on często, charakteryzuje się, jak aktor i wogóle prowadzi tryb życia bardzo dziwny. Niewątpliwie posiada kilka mieszkań, gdyż częstokroć wymyka się z pod naszej czujnej opieki. Jednak, jeśli panowie sobie tego życzą. można pozbyć go się w przyzwoity sposób, gdyż można zawsze łatwo pozbyć się człowieka, który zbyt lubi kobietki. Dodam, że jegomość ten ma zamiar znów się przeprowadzić. Czy pan wice hrabia i pan baron rozkażą mi co jeszcze?

— Justynie, jestem z ciebie zadowolony. Na początek wystarczy na tych wiadomościach, których nam dostarczyłeś. Tylko pilnuj tutaj, żeby baronowi nie stało się nic złego.

— Kochane dziecko, — zwrócił się komandor do barona, — powróć do normalnego życia i zapomnij o pani Juljuszowej.

— Nigdy, — odparł August, — nigdy nie ustąpię przed jakimś Gracjanem Bourignard; muszę mieć go w mojem ręku i panią Juljuszową razem z nim.

Wieczorem baron de Maulincour, promowany tego dnia na wyższy stopień w pułku gwardji, udał się na bal do księżny de Berri. Tu niewątpliwie mógł się nie obawiać żadnego niebezpieczeństwa. A jednak opuszczał bal z nowym kłopotem: miał w perspektywie sprawę honorową, niemożliwą do załagodzenia na drodze pokojowej. Jego przeciwnik, margrabia de Ronquerolles, miał do niego bardzo poważną urazę z powodu stosunku, który łączył go w swoim czasie z siostrą margrabiego, hrabiną de Sérizy. Niewiasta ta, acz wroga czułostkowości i miłości platonicznej, lubiła tem niemniej przybierać pozę istoty pełnej pruderji. Jakaś niewytłomaczona fatalność sprawiła, że August wyrwał się przed nią z żartem, który hrabina przyjęła jaknajgorzej i o który obraził się jej brat. W kącie salonu miała miejsce krótka rozmowa. Jako ludzie dobrze wychowani, przeciwnicy starali się uniknąć rozgłosu. Jednak nazajutrz arystokratyczne towarzystwo z przedmieścia St. Germain dowiedziało się o zajściu. Pani de Sérizy znalazła gorliwych obrońców i opinja zwróciła się przeciw baronowi. Do sprawy wtrąciły się osoby z otoczenia królewskiego. Panom Maulincour i Ronquerolles przydano wysoko postawionych sekundantów i przedsięwzięto wszystkie środki ostrożności, aby pojedynek nie miał wyniku krwawego. Gdy August znalazł się na mensurze, naprzeciw margrabiego, człowieka płochego, ale niewątpliwie honorowego, nie ośmielił się podejrzewać w nim narzędzia Ferragusa, wodza pożeraczy. Jednak jakiś tajemniczy głos, jakieś niewyjaśnione przeczucie mówiło mu, że sprawa nie jest zupełnie czysta. Aby więc upewnić się, rzekł do świadków:

— Panowie, oczywiście nie uchylam się od pojedynku z panem de Ronquerolles, ale uprzednio pragnę oświadczyć, że poczuwam się do winy, że gotów jestem przeprosić go nawet publicznie, gdyż znajduję, że gdy chodzi o kobietę, niema w tem poniżenia, lecz tylko spełnienie obowiązku. Odwołuję się więc do rozsądku i prawości pana margrabiego: czy nie jest śmiesznem pojedynkować się w podobnych warunkach.

Ale pan Ronquerolles nie chciał zakończyć w ten sposób sprawy, co wzmogło podejrzenia barona. Zbliżył się do przeciwnika i rzekł:

— W takim razie, panie margrabio, niech pan da wobec świadków słowo szlachcica, że w pojedynku tym nie widzi pan sposobności do zemsty z innego powodu, niż ten, który wiadomy jest wszystkim.

— Panie, nie jestem obowiązany dawać podobnych wyjaśnień.

I pan de Ronquerolles zajął swoje miejsce. Warunki pojedynku głosiły, że przeciwnicy wymienią po jednym strzale. Margrabia, pomimo przestrzeni, określonej umyślnie tak, aby żadnemu z przeciwników nic się nie stało, powalił barona. Kula trafiła w żebra i weszła w bok o dwa palce powyżej serca. Na szczęście, nie wywołała jednak poważniejszych uszkodzeń.

— Zbyt dobrze pan celuje,—rzekł oficer,— abym mógł uwierzyć, że chciał pan pomścić dawno wygasłą namiętność.

Pan de Ronquerolles, sądząc, że August jest porażony śmiertelnie, nie mógł powstrzymać drwiącego uśmiechu, słysząc słowa barona.

— Żona Juljusza Cezara musi być wolną od podejrzeń.

— Znów Juljusz i Juljuszowa! — odparł August.

Zemdlał, nie zdążywszy skończyć złośliwości, która zamarła na jego wargach; lecz chociaż stracił wiele krwi, rana jego nie była niebezpieczna. Po piętnastu dniach, w ciągu których babka i komandor otoczyli go tą opieką, do której zdolni są tylko starcy, pewnego ranka babka jego zadała mu okropny cios. Powiedziała mu, na jak śmiertelny niepokój wystawił ostatnie dni jej starego życia. Otrzymała ona list, podpisany literą *F*, w którym szczegółowo opowiedziano jej o szpiegowaniu, które uprawiał w stosunku do pewnych osób jej wnuk. Zarzucano mu tam rzeczy niegodne uczciwego człowieka, Pisano, że umieścił na miejscu, na którem dorożkarze poją konie przy ulicy Ménars, jakąś staruszkę, która niby to sprzedawała dorożkarzom wodę a w rzeczywistości szpiegowała każdy krok pani Juljuszowej Desmarets. Że szpiegował najniewinniejszego człowieka w świecie, chcąc poznać jego tajemnicę, od której zależało życie lub śmierć trojga ludzi. Że sam wywołał tę bezlitosną walkę, w której trzykrotnie już był raniony, a ostatecznie i nieuniknienie zostanie zabity, gdyż śmierć jego została zaprzysiężona. Nie ocaliłoby nawet jego życia przyrzeczenie, że na przyszłość uszanuje tajemnicze życie tych trzech osób, ponieważ nie można ufać słowu szlachcica, zdolnego upaść do roli ajenta policyjnego. I poco? Aby zakłócić spokój niewinnej kobiety i godnego szacunku starca.

Sam list nie był dla Augusta niczem wobec czułych wyrzutów starej baronowej. Jak można było zdradzić taki brak szacunku wobec kobiety, którą się kocha! Nastąpił cały potok wspaniałych racji, które nigdy niczego nie dowodzą, lecz które wzamian poraz pierwszy w życiu wprawiły młodego barona w tak szalony gniew.

— Jeśli to pojedynek na śmierć i życie, — rzekł, — w takim razie muszę zgładzić mego wroga, nie oglądając się na środki.

Natychmiast komandor udał się w jego imieniu do naczelnika policji francuskiej i, nie wyjawiając imienia pani Juljuszowej, która była tajemniczym węzłem tej sprawy, opowiedział mu o obawach, któremi przejmuje rodzinę Maulincourów osobnik dość śmiały, aby zaprzysiądz śmierć oficerowi gwardji, nie licząc się z prawem ani policją. Naczelnik policji przyrzekł, że z pomocą Vidocqua i jego ludzi wkrótce da sobie radę z wrogiem barona, dodając, że dla policji paryskiej niema tajemnic. Po kilku dniach zjawił się on w pałacu barona, którego zastał już uleczonym z otrzymanej rany. Wyszukanym stylem administracyjnym wyraził komandorowi swą wdzięczność za udzielone wiadomości. Następnie poinformował go, że Bourignard był zbirem, skazanym w swoim czasie na dwadzieścia lat ciężkich robót, lecz któremu udało się w tajemniczy sposób zbiedz w drodze do Tulonu. Od trzynastu lat policja napróżno usiłowała schwytać tego ptaszka, choć wiedziała, że znajduje się on w Paryżu. Był on zamieszany w liczne ciemne historje, lecz stale udawało mu się wymknąć z rąk sprawiedliwości. Obecnie człowiek ten, którego życie obfituje w nader ciekawe szczegóły, zostanie niewątpliwie ujęty w jednem z swych mieszkań i wydany katu. Biurokrata zakończył ten pół-oficjalny raport, proponując baronowi, aby, jeśli mu na tym zależy, znalazł się nazajutrz o ósmej rano na ulicy Świętej Wiary, a będzie świadkiem aresztowania zbiegłego galernika. Pan de Maulincour wyrzekł się przyjemności sprawdzenia własnemi oczami tej przepowiedni, ufając najzupełniej policji, budzącej w nim niezwykły szacunek. W trzy dni potem, nie znajdując w pismach żadnej wzmianki o tem aresztowaniu, które powinno było przecież wywołać jakieś echo w prasie, baron poczuł niepokój. Ale uspokoił go najzupełniej następujący list:

„Szanowny Panie Baronie! Mam zaszczyt zawiadomić Pana, że może Pan wyzbyć się wszelkich obaw w wiadomej sprawie. Gracjan Bourignard, zwany Ferragusem, zmarł wczoraj w swem mieszkaniu przy ulicy Joquelet № 7. Podejrzenia, które mieliśmy co do identyczności zmarłego, zostały najzupełniej obalone przez fakty. Lekarz z prefektury policji wraz z miejscowym lekarzem oraz szefem wydziału śledczego sprawdzili wszystko jaknajdokładniej, chcąc mieć zupełną pewność. Zresztą, charakter świadków, którzy podpisali akt zejścia oraz świadectwa tych, którzy byli przy nim w ostatnich chwilach życia — między innemi świadectwo szanownego wikarego kościoła Dobrej Nowiny, któremu wyznał wszystko na spowiedzi (umarł bowiem pełen skruchy) — nie pozwalają nam zachować żadnych wątpliwości.

Przyjmij, baronie i t. d."

(d. c. n.)

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU":

W Warszawie	rocznie rb. 6.— półr. rb. 3.— kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.— „ „ 3.50 „ „ 1.75
Za granicą i za oceanem „ „	„ „10.— „ „ 5.— „ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. **Nadesłane**, w tekście—75 k. **Reklamy**—40 k. **Ogłoszenia na 3 str.** okładki 20 k. **Na 4 str. okładki**—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa". Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gliszczyńska
Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: **Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.**

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.